

Od autora: Po dłuższej chwili publikuję swój nowy tekst i zapraszam do czytania!

Poranne, słabe promienie słońca muskały utkaną przez Zyzusia pajęczą pułapkę. Zyzuś czał się w niedoświetlonym kącie okna. Tłusta kolorowa mucha, złapana w sieć, dojrzewała od kilku godzin oblana sosem trawiennym pająka. Zyzuś był łakomczuchem i nie chciał dłużej czekać. Tylko łypnął kilkoma parami oczu i wygłodniały rzucił się na rozpuszczający się korpus owada. Ssał z lubością pyszny budyń wnętrzości.

Doktor Jan Kowak pokiwał z uznaniem głową.

- Ech, ale z ciebie zrobił się tłuscioch - szepnął po ojcowsku. Czuł się współwinny, wszak sam podrzucał niebieskie muchy do pajęczych sieci. Lubił dokarmiać Zyzusia, który teraz nie zwracał uwagi na dobrodzieja, tylko siorbał chciwie kolejne łyki cytoplazmy.

- Oj, panie doktorze! Panie doktorze! - zaszcebiotała osiemdziesięcioletnia Eugenia Smyk.

Jan Kowak przypomniał sobie, że ma pacjentkę.

- A przepraszam, przepraszam, pani Gieniu. To do siebie - tłumaczył się zmieszany.

- Oj tam, oj tam - kobieta pokiwała ze zrozumieniem - Ja wiem, że to nie o mnie. Sam pan widzi, jaka ze mnie suchotnica!

Eugenia w głowie dodała: „pomarszczona ładacznicą”. Ech, gdyby była przynajmniej trzydzieści lat młodsza. Doktor grzechu warty. Wysoki, postawny mężczyzna, pewny siebie, lecz z błyskiem dziecięcego roztargnienia. Może to przez zbyt wcześnie uwidocznioną siwiznę na ciemnych, delikatnych włosach. Aż chciałoby się takiego złapać mocno. I nie puścić!

- Ciasto smakowało? – odgoniła myśli pytaniem i szybko odpowiedziała za doktora - Rozumie się samo przez się! Ale żeby biczować się? Panie doktorze! Przyniosłam, by poszło całe! Najlepiej w cycki, ale nie u pana przecież.

Eugenia zaśmiała się tak, by lekarz domyślił się, w co mogło mu pójść. Doktor udał, że obleśny żart go ubawił.

- Cała blacha dla jednego lekarza! – pozorował dalej, tym razem oburzenie - Marnotrawstwo!

- Wielki z pana doktor to i... – staruszka nigdy nie szczędziła komplementów.

- Dobrze, już dobrze, pani Gieniu. Mam zaraz następnego pacjenta, porozmawiamy jeszcze, gdy weźmie pani wszystkie leki i wróci na kontrolę.

- Panie doktorze, jakie kontrole! Tu nie urząd jakiś. Albo się wyleczę albo zemrze mi się. Jaka będzie woła boska, tak się stanie.

- Pani Eugenio! - doktor Kowak spochmurniał - Co pani mówi! Od tego się nie umiera!

- Jedno się leczy, od drugiego umiera - filozoficznie odrzekła staruszka.

Jan Kowak nie przepadał za tematem Boga. Wierzył tylko w to, co zobaczył na własne oczy. Nieraz wypełniał akt zgonu, a Boga nie spotkał. Czasem niebieskie muszki. Te pospolite plujki więcej mu zdradziły sekretów o śmierci i denacie niż ksiądz i cała parafia razem wzięta. Gdy myślał o Bogu, zastanawiał się nad czymś innym. Czy muchy towarzyszyły Jezusowi na Golgocie? Albo w grobowcu, przez trzy dni, zanim wrócił do żywych? Nic o tym nie ma w Nowym Testamencie. Czyżby niedopatrzenie kronikarskie apostołów? Chętnie by zapytał, ale nie miał kogo.

Eugenia nieświadoma przemyśleń doktora dodała jeszcze:

- Żeby pan doktor wiedział, od jakich głupstw ludzie umierają... Taki niedojda, mój siostrzeniec, na przykład...

- Do widzenia, pani Gieniu. Do widzenia.

Lekarz stanowczo wyprosił pacjentkę, która na odchodnym tylko jęknęła "Niech pan dba o siebie. Jak pan umrze, to gdzie ja będę chodzić się leczyć?".

Doktor Kowak uśmiechnął się na niezamierzony, ale udany dowcip. Przychodzi baba do lekarza, a lekarz zmarł. Zabawne, ale nie ma mowy! Kto by dokarmił Zyzusia? Kto by zanosił muszki?

Aż nagle zbladł. Nikt nie musi, Zyzuś sobie poradzi. Żywy lekarz nie jest niezbędny. Wystarczy martwy.

Wyobraził sobie na fotelu, gdy traci zmysły, uchodzi z niego życie. Ciało staje się sine i fioletowe, oczy zapadają do środka głowy, potem wapń usztywnia kościec. Bakterie zaczynają trawić organy, a zapach przyciąga pierwszych biesiadników. Rozpoczyna się żerowisko. I cykle rozwojowe. Jaja składane w każdym miękkim i nęcącym otworze ludzkiego ciała dojrzewają. Wykluwają się pierwsze larwy, potem pierwszy lot muszkiego Ikara w stronę słońca. Zyzuś też nie próżnuje. Zaciera z radości włochate kończyny, z odwłoku wypuszcza nici, by poszerzyć łowcze sieci. Wypatruje. Zwierzęta nie znają pojęcia czasu, nie nudzą się. Cierpliwie oczekuje, by muszki napasły się szanownym panem doktorem, a potem z ciężkimi brzuchami, niczym bzyczące bombowce, wpadały w zastawione sidła pupilka.

- Oho, ale pan zmarniał – Jan Kowak usłyszał z oddali głos Eugenii. Pochodził jakby z innego świata - Pan jeszcze zje tego ciasta. Nim muchy obleżą.

W otwartych drzwiach światło rozpraszało się na przygarbionej sylwetce pacjentki doktora Kowaka, uwidaczniając jasny obrys postaci. Doktorowi zdawało się przez głupi moment, że ujrzał świętą. Pomału mu na odchodne całą swą esencją życiową i wyszła na zewnątrz, w stronę pachnącego wiosną świata.

Jan Kowak wtedy zrozumiał, że to nie śmierć, ale co innego przychodzi i nas pochłania. Coś wiecznie głodne, zachłanne. To nowe życie. Albo zwyczajniej: życie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

alea, dodano 13.12.2021 16:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.